

Permanentny koszar, permanentna obojętność

6 października 2008

Raz na jakiś czas światową opinię publiczną elektryzują doniesienia o masowych i rozległych naruszeniach praw człowieka. Czasem jest to rzeź niewinnych dzieci w Osetii, czasem masakra demonstrantów w Uzbekistanie, czasem tortury w bagdadzkim więzieniu. Rzadko jednak wydarzenia te zaprzatają uwagę świata na dłużej niż przysłowiowe warholowskie 15 minut. Cóż, ponoć śmierć jednego człowieka to tragedia, podczas gdy śmierć milionów to już tylko statystyka.

W moim artykule chciałbym jednak zająć się tragedią, która w świadomości opinii światowej nie zajęła nawet owych nieszczęsnych 15 minut. Mowa tu o permanentnym konflikcie trwającym od 1994 r. w Demokratycznej Republice Kongo. Ta zapomniana wojna pochłonęła w przybliżeniu ponad 3 miliony istnień ludzkich i wciąż nie została całkowicie zakończona. Co prawda na głównej osi konfliktu walki ucichły, lecz w poszczególnych prowincjach wciąż trwa brudna, cicha wojna. Wschodnia część Kongo stanowi dziś istne conradowskie „jądro ciemności” – ziemię niczyją, na której zezwierzęceni żołnierze każdej ze stron mordują gwałcą i ograbiają miejscową ludność.

Jest to obecnie jedna z najgorszych afrykańskich tragedii, lecz nie zaprzata ona uwagi światowych mediów i polityków nawet w tak ograniczonej skali jak najgłośniejszy ostatnio afrykański konflikt w sudańskim Darfurze. Może dlatego, że jego złożoność jest nieporównywalnie większa i (last but not least) brakuje tu jasno określonego czarnego charakteru w postaci arabskich muzułmanów.

JAK ROZPOCZĄŁ SIĘ KRYZYS?

Kongijska tragedia bierze swój początek w 1994 r. i jest bezpośrednio powiązana z dokonanym wtedy ludobójstwem w

sąsiedniej Rwandzie. Wówczas to po przegranej wojnie domowej na terytorium Demokratycznej Republiki Kongo (podówczas Zairu) schroniło się ok. 3 mln. członków plemienia Hutu z Rwandy. Uciekli oni z kraju obawiając się zemsty zwycięskich rebeliantów za wymordowanie ok. 937 tys. członków plemienia Tutsi. Stłoczeni w prymitywnych obozach we wschodnich prowincjach Zairu (gdzie utworzyli swoiste quasipaństwo) marli teraz tysiącami z głodu i chorób.

Wraz z nimi w Zairze schronili się też członkowie odpowiedzialnej za ludobójstwo dawnej armii rządowej i milicji „Interahamwe”. Nie zaprzestali oni walki z rządzącymi Rwandą Tutsimi atakując ich z baz położonych w Zairze, a zarazem rozpoczęli napaść na zamieszkujący Zair odłam Tutsich (Banyamulenge). Na rezultaty nie trzeba było długo czekać – na wschodni Zair spadła inwazja wojsk rwandyjskich i ugandyjskich.

Rwandyjska inwazja zachwiała kruchą stabilnością Zairu, pogrążonego w nędzy, zamieszkiwanego przez blisko 200 plemion i rządzonego przez podstarzałego i śmiertelnie chorego generała Mobutu Sese Seko. Pod patronatem Rwandy i Ugandy zairska opozycja (głównie miejscowi Tutsi) ruszyła na Kinszasę. W maju 1997 r. Mobutu został obalony, a władzę w państwie przejął z błogosławieństwem sąsiadów przywódca rebelii – Laurent Kabila.

Kabila zawiódł jednak nadzieje swych mocodawców. Mimo, iż był prezentowany jako mąż opatrnościowy dla Zairu (odtąd Demokratyczna Republika Kongo) nie zdołał objąć całkowitej kontroli nad krajem i wykazał się nieudolnością w rządzeniu. Przede wszystkim jednak, po zwycięstwie odwrócił się plecami do swych zagranicznych protektorów i kongijskich Tutsich.

W rezultacie w 1998 r. Rwanda i Uganda ponownie zaatakowały terytorium Kongo i wspólnie z miejscowymi Tutsimi zmontowały kolejną rebeliancką koalicję, tym razem przeciw Kabili. Po stronie zagrożonego prezydenta opowiedziały się z kolei

Angola, Namibia i Zimbabwe. W krwawej wojnie domowej – w walkach oraz z powodu głodu i chorób – śmierć poniosło wedle szacunkowych obliczeń ponad 3 miliony ludzi. Dopiero zawarcie pokoju w grudniu 2002 r. doprowadziło do częściowego zakończenia walk i wycofania obcych wojsk z Konga.

„JĄDRO CIEMNOŚCI”

Zawarcie pokoju nie oznaczało jednak uspokojenia sytuacji w Kongo. Wschodnie prowincje tego państwa pozostają do dziś swoistą ziemią niczyją, nad którą rząd w Kinszasie nie ma niemal żadnej władzy. Część z nich mają pod swoją kontrolą rebelianckie ugrupowania („Kongijski Związek na rzecz Demokracji” (DRC) i „Ruch Wyzwolenia Konga” (MLC)) wspierane przez Rwandę, część uchodźcy Hutu z Rwandy i Burundi i ich milicje, a część po prostu lokalni watażkowie i ich prywatne armie. Wschodnie Kongo jest dziś więc swoistym jądrem ciemności, w którym rządzi prawo pięści (a w zasadzie prawo maczety i kałasznikowa), a miejscowa ludność nie może liczyć na niczyją litość i ochronę.

O ile siły rządowe i wojska sąsiednich państw nie angażują się już raczej w walki, o tyle nadal wspierają lokalne milicje, toczące ze sobą krwawe walki albo na tle etnicznym albo o dostęp do miejscowych bogactw naturalnych. Część sił politycznych Konga nie uznało zresztą postanowień pokoju z 2002 r. i nadal kontynuuje walkę. Raz na jakiś czas dochodzi do eskalacji starć i gróźb sąsiedniej Rwandy, że dokonana zostanie kolejna interwencja. Prowadzi to zwykle do paniki wśród cywilów, którzy uciekają masowo w góry, w głąb dżungli bądź do prowadzonych przez organizacje humanitarne obozów.

We wschodniej prowincji Ituri trwa w dodatku krwawy konflikt pomiędzy ludem Lendu, a mniejszościowym plemieniem Hema, który od 1999 r. pochłonął już ponad 50 tys. ofiar. Ok. 6 rozmaitych paramilitarnych ugrupowań walczy tam teraz ze sobą, terroryzując przy okazji miejscową ludność. Jest to obecnie najbardziej zdestabilizowany region w i tak zdestabilizowanym

Kongu.

Wymienianie wszystkich milicji i organizacji walczących ze sobą we wschodnim Kongo nie ma sensu. Z dużym co prawda uproszczeniem można bowiem powiedzieć, że wszyscy walczą tam ze wszystkimi. Ofiarą padają jednak najczęściej bezbronni cywile. Zdemoralizowani, źle wyszkoleni i źle opłacani żołnierze czy to wojsk rządowych czy ugrupowań rebelianckich mordują, gwałcą i rabują bez skrupułów. Cywile pozbawieni jakiejkolwiek ochrony są dla nich łatwym łupem. Często zresztą w przypadku walk między plemiennych jak w Ituri, są traktowani jako w pełni usprawiedliwiony cel ataków.

Cywile nie giną zresztą tylko z rąk żołnierzy. W obawie przed napaściami chronią się bowiem często w prowadzonych przez organizacje humanitarne obozach dla uchodźców. Wedle danych podawanych przez Amnesty International pod koniec 2003 r. pozostawało w nich ok. 3,4 mln. ludzi. Wegetują tam umierając często z głodu lub chorób. Tylko w ciągu ostatnich trzech miesięcy, w obozach w prowincji Ituri epidemia cholery kosztowała życie co najmniej kilkudziesięciu osób.

Ludzie nie giną w Kongu tylko w wyniku walk i towarzyszących im kataklizmów. Zarówno na obszarach kontrolowanych przez rząd jak i rebeliantów częste są przypadki arbitralnych zatrzymań, tortur i „zniknięć”. Wykonywane są też wyroki śmierci. Ofiarą samowoli władz padają m.in. niezależni dziennikarze i obrońcy praw człowieka.

POLOWANIE NA PIGMEJÓW

Pigmeje, którzy zamieszkują dżungle Demokratycznej Republiki Konga są obecnie celem regularnych polowań dokonywanych solidarnie przez wszystkie zwalczające się wzajemnie milicje. Są tropieni i w brutalny sposób mordowani, a oprawcy nie oszczędzają nawet kobiet i małych dzieci. Ich szałaszy puszczane są z dymem. Najbardziej przerażające jest jednak to, że polowaniom na Pigmejów często towarzyszy kanibalizm. Są oni bezbronni, gdyż stanowią najbiedniejsze plemię tego kraju, nie

posiadające żadnych formacji paramilitarnych. Dlatego są łatwym celem ataków i można ich bezkarnie mordować.

Powodem brutalnych ataków i kanibalizmu jest przede wszystkim fakt, że wielu Kongijczyków odmawia im statusu istot ludzkich uważając ich za formę przejściową między człowiekiem a małpą ! Agresję wobec Pigmejów wywołuje również fakt, że niektóre zamieszkane przez nich terytoria obfitują w bogactwa naturalne, takie jak złoto, minerały, a nawet diamenty.

DZIECI ŻOŁNIERZE

Ten wyjątkowo odrażający element afrykańskich wojen nie mógł ominąć Demokratycznej Republiki Konga. Każda ze zbrojnych grup działających w Kongu dopuszcza się procederu porywania dzieci, a w niektórych z nich, stanowią one aż 40% składu jednostek bojowych. Grupy zbrojne zazwyczaj ignorują wezwania do zaprzestania tego procederu.

Dzieci, nawet w wieku 7 lat, są porywane i zamykane w specjalnych obozach szkoleniowych, wiele z nich umiera tam z powodu fatalnych warunków i złego traktowania. Chłopcy za pomocą bicia, narkotyków i indoktrynacji są szkoleni na bezwzględnych zabójców i wykorzystywani jako mięso armatnie. Dziewczynki pełnią natomiast funkcje niewolnic seksualnych dla starszych żołnierzy. Szanse na ich ponowną reintegrację ze społeczeństwem są znikome.

GWAŁT PONURĄ CODZIENNOŚCIĄ

Jedną z najciemniejszych stron konfliktów we wschodnim Kongo jest szalejąca przemoc seksualna. Masowe gwałty na kobietach i dziewczynkach w każdym wieku są tam dokonywane przez wszystkie strony konfliktu. Jest to z jednej strony wynik demoralizacji żołnierzy i ich zupełnej bezkarności. Na pozbawionym jakiegokolwiek władzy i sądownictwa terytorium mają oni zupełną swobodę, z której korzystają ochoczo. Z drugiej jednak, miejscowe milicje traktują masowe gwałty jako jedną z podstawowych form prowadzenia walki, stosowaną aby

sterroryzować i złamać ludność cywilną.

Gwałtom towarzyszy często niesłychana brutalność przejawiająca się w okaleczaniu i mordowaniu ofiar. Wedle ostrożnych danych podawanych przez Amnesty International, tylko w pierwszych miesiącach 2003 r. liczba gwałtów wyniosła ok. 40 dziennie. Prawdziwego stanu rzeczy możemy się tylko domyślać...

Inną formą przestępczości seksualnej jest porywanie kobiet i dziewcząt przez zbrojne grupy i zmuszanie ich do pełnienia roli seksualnych niewolnic poszczególnych żołnierzy.

Rezultatem tego procederu jest nie tylko osobista tragedia zgwałconych kobiet ale i gwałtowne rozprzestrzenianie się AIDS oraz innych chorób przenoszonych drogą płciową. Często spotyka je też ostracyzm ze strony rodzin i lokalnych społeczności.

PRÓŻNO CZEKAĆ NA REAKCJĘ

Sytuacja w Demokratycznej Republice Kongo nie budzi dziś większego zainteresowania świata. Kiedy wojna miała jeszcze charakter międzynarodowy, mediacja ze strony ONZ i państw afrykańskich okazała się na tyle skuteczna by doprowadzić do wycofania obcych wojsk z terytorium Kongo i skłonienia głównych stron konfliktu do przerwania ognia. Gdy jednak najważniejsi aktorzy zaprzestali walki zainteresowanie spadło. Raz na jakiś czas gdy rośnie napięcie, a Rwanda potrząsa szabelką, ONZ i Unia Afrykańska zdobywają się na dyplomację prewencyjną. Fakt, że wschodnie Kongo stanowi dziś obszar wyjęty z pod prawa nie budzi już natomiast emocji. Rząd w Kinszasie nie jest w stanie zaprowadzić porządku na tym obszarze, a projekty Unii Afrykańskiej w tym zakresie pozostają na razie w stadium planowania. Miejscowa ludność może więc liczyć tylko na siebie.

W Demokratycznej Republice Kongo stacjonuje kontyngent sił pokojowych ONZ znany jako MONUC. Liczy on jednak jedynie ok. 15 tys. słabo wyposażonych żołnierzy. Pozbawieni ciężkiego sprzętu, rozproszeni na ogromnym obszarze nie są w stanie

zapewnić bezpieczeństwa miejscowej ludności, sami zresztą padają często ofiarom ataków ze strony rozmaitych bojówek. Szczególnie wyraźnie ich bezsilność widać w prowincji Ituri, gdzie nie tylko nie są w stanie zahamować międzyplemiennych walk, lecz sami wciągają się w walki z atakującą ich dość regularnie milicją miejscowych panów wojny.

Sam MONUC skompromitował się w dodatku niesłychanie gdy na jaw wyszły szokujące fakty o postępowaniu jego żołnierzy wobec miejscowej ludności. Wedle oficjalnych raportów dopuszczali się oni licznych gwałtów na kobietach i dziewczynkach. Znacznie częściej miały jednak miejsce przypadki wymuszania seksu, polegające na korzystaniu z dramatycznej sytuacji kobiet zamieszkujących ten wyniszczony wojną kraj. Wegetujące w obozach dla uchodźców musiały płacić ciałem za niezbędne do przeżycia koce, niewielkie ilości żywności czy pieniądze o równowartości 1\$. „Błękitne hełmy” zajmowały się też kręceniem filmów pornograficznych, w tym z udziałem dzieci. Skandal ten odbił się w Afryce dość głośnym echem. Wycofano do domu kontyngent z RPA, a pozostali żołnierze otrzymali zakaz trzymywania jakichkolwiek stosunków intymnych z miejscowymi kobietami. Media światowe nie poświęciły jednak temu większej uwagi.

Na fakt, że świat milczy wobec tych tragedii wpływa kilka okoliczności. Wojna we wschodnim Kongu jest cichym brudnym konfliktem – niezrozumiałym dla przeciętnego odbiorcy i z racji na swój charakter zdecydowanie mało medialnym. W porównaniu z Irakiem, Afganistanem czy Darfurem nie ma zupełnie siły przebicia. Poza tym mało kto chciałby angażować swe siły i środki w tym zapadłym regionie, gdzie niewiele państw posiada jakieś interesy. Tym z kolei, które posiadają, panujący tam chaos jest raczej na rękę.

Dlatego w tak rzadko słyszymy w mediach o tragedii w Demokratycznej Republice Konga. Ten konflikt jest zbyt mało widowiskowy i ze strategicznego punktu widzenia za mało istotny by pojawiać się na pierwszych stronach gazet.

PERSPEKTYWY

Małe są szanse by świat zainteresował się szerzej sytuacją w Demokratycznej Republice Kongo. Dlatego też wezwania pozarządowych organizacji humanitarnych nie przebijają się raczej do szerszej świadomości. Poza tym jak wspomniałem zbyt wiele interesów (od polityki po zyski z nielegalnej eksploatacji bogactw naturalnych) zostałoby naruszonych w przypadku jakiegóż interwencji humanitarnej. Nadzieja tkwi natomiast jeszcze w działaniach państw afrykańskich. Kilka dni temu parlament Kongo uchwalił wreszcie z trudem wynegocjowaną konstytucję. 20 listopada 2004 r. piętnaście afrykańskich państw oraz przywódcy trzech państw regionu – Rwandy, Burundi i Demokratycznej Republiki Kongo podpisało pod auspicjami ONZ i Unii Afrykańskiej deklarację z Dar es Salam. Przewiduje ona podjęcie szeregu działań w celu zaprowadzenia pokoju w regionie Wielkich Jezior oraz umocnienia tam zasad demokracji, praw człowieka i wymuszenie przestrzegania na walczących stronach reguł prawa wojennego. Jako inne cele wymienia się również walkę z biedą, odbudowę zniszczonych konfliktami gospodarek (poprzez rozwój sektora prywatnego i przyciąganie zagranicznych inwestycji) i struktur państwowych. Ostatecznym uwieńczeniem procesu ma być podpisanie jeszcze w tym roku w Kenii regionalnego paktu bezpieczeństwa, stabilności i rozwoju.

Powstał również plan rozbrojenia (nawet przy użyciu siły) blisko 10 tys. rebeliantów z plemienia Hutu, którzy po przegranej wojnie domowej w Rwandzie schronili się w tym kraju i od 10 lat stanowią najbardziej destabilizujący czynnik w regionie. Ich neutralizacja pozbawiłaby wreszcie Rwandę pretekstu do mieszania się w wewnętrzne sprawy Kongo.

Do realizacji tych planów pozostaje jednak daleka droga. Ile osób do tego czasu zostanie zamordowanych i zgwałconych – niewiadomo... Jedno natomiast wiadomo z całą pewnością. Bez uzdrowienia sytuacji w Demokratycznej Republice Kongo, cały region Wielkich Jezior będzie permanentnie zagrożony

destabilizacją.

Autor: Maciej Konarski

Źródło: [Portal Spraw Zagranicznych](#)

BIBLIOGRAFIA

1. Amnesty International – www.amnesty.org
2. Human Rights Watch – www.hrw.org
3. "The war within the war. Sexual violence against women and girls in eastern Congo" (raport Human Rights Watch).
4. "Polityka" nr 36/1998
5. "Polityka" nr 4/2001
6. BBC